

Autentyczna Bujda

By Rafał „Dark" Mońka

Czy potrafisz przeżyć lata nie rozmawiając z inną istotą ludzką? A co powiesz na niezliczone miesiące szukania pożywienia w leśnym runie i spania w błotnistych jamach? Poczytalność jest jak pająk trzymający się swej drżącej nici, nieświadomy zbliżających się do niego palców, które łapią go, chwytają i wpychają do mych ust…

Najczarniejsza Noc

Dezmont przechadzał się właśnie między drzewami, choć zdecydowanie lepszym zwrotem byłoby „zataczał się". Potwierdzała to jego twarz, zazwyczaj dość blada, obecnie zabarwiona czerwienią. Młodzieniec Zawsze, gdy tylko alkohol przekroczył pewne stężenie w jego krwi, kroczył tą samą ścieżką. Zapach lasu zawsze go koił. Była to też doskonała sposobność na opuszczenie swoich towarzyszy kufla. Osobiście uważał, że do niczego innego się nie nadają. W zasadzie w ogóle nie przepadał za pozostałymi ludźmi i z chęcią unikał kontaktu z nimi. Samo picie trunków w pobliskiej karczmie wymagało jednak od niego przybierania maski człowieka otwartego na innych i prawdziwej duszy towarzystwa. Jego wygląd nieznacznie mu w tym pomagał. Miał przystojną twarz z delikatną cerą, równie delikatnie nadpsutą wpływem alkoholu, kruczoczarne włosy i ciemne oczy o głębokim spojrzeniu. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że jest to całkiem przydatną umiejętnością. Niejednokrotnie, któryś z współbiesiadników postawił mu trunek, tylko dlatego, że Dezmont opowiedział jakąś zabawną lub intrygującą anegdotę. Oczywiście większość z nich była całkowicie wyssana z palca, ale nigdy nikomu to nie przeszkadzało. Bardzo możliwe, że nawet nikt nie zorientował się, że to zwykłe bujdy. Kiedyś opowiedział im o Wiedźmie z Gór, która według niego żyła raptem kilkanaście kilometrów stąd. Oczywiście nigdy nikomu nie przyszło do głowy by zapuszczać się w północne góry, więc tylko słuchali historii. Co chwilę ktoś popierał jego słowa, a pozostali kiwali głowami i mruczeli z aprobatą.

- Ponoć można ją zobaczyć tylko podczas nowiu! – powiedział Dezmont. Wydawać by się mogło, że budował napięcie chwi-

WERSJA ROBOCZA

lową pauzą w wypowiedzi, ale tak naprawdę sam szukał w zakamarkach swego umysłu odpowiedniej kontynuacji dla swej historii.

- Słyszałem od jednego wieśniaka, że przybyła do Narshill i wymordowała tam cały żłobek! Wszędzie walało się dziecięce truchło i posoka.

- Ja też gdżeeesz szłyyyszałeeem takie… plotki… - wybełkotał ktoś kto już ledwo trzymał się na nogach. Jednak Dezmont puścił to mimo uszu.

- Jednak jedno z dzieciąt przetrwało! Rosło w nienawiści do owej wiedźmy, która pozbawiła wieś całego pokolenia. No… niemal całego – dokończył z uśmiechem i pomachał pustym kuflem nad głową. Zaraz ktoś rzucił kilka monet barmanowi i opowieść została kontynuowana.

- Ludzie głosili, że wiedźma nigdy więcej nie nawiedzała tych rejonów. Jednak młodzian zawziął się, aby pewnego dnia ją upolować i zatknąć jej głowę na palu, na środku placu. Do teraz podczas nowiu można usłyszeć jej zawodzenie – uciął, a ludzie dalej przypatrywali mu się jak zaczarowali.

- Znowu łyknęli tę historyjkę – pogratulował sobie w myślach i rozsiadł się wygodniej na swoim siedzisku.

- Świetna opowieść. Do końca dzisiejszej nocy piwo masz na mój koszt – odezwał się przysadzisty karczmarz. Dezmont uniósł dłoń na znak, że zrozumiał. Reszta czasu spędzonego w karczmie upłynęła mu na upijaniu się i słuchaniu poruszenia, jakie wywołała kolejna przypowieść.

Teraz jednak znajdował się w dziczy i był idealnie zsynchronizowany z przyrodą. Tak właściwie to synergia polegała głównie na tym, że w jego żyłach płynął przetwór z chmielu, ale to nie miało dla niego większego znaczenia. Lubił ten stan, kiedy jego umysł niemal unosił się w czarne niebo…

WERSJA ROBOCZA

- Czarne niebo – słowa same wyrwały się z jego ust. Rzeczywiście na niebie panowała czarna, bezgwiezdna noc. Wszystko zasłaniały burzowe chmury, ale poza tym nic nie zwiastowało nadejścia jakiejś większej ulewy. Oparł się więc o drzewo i wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Trzeba przyznać, że ptaki tej nocy dawały niezwykły koncert. Czasem wydawało się, że muzyka jaką tworzyły przybierała ponury nastrój. A może rzeczywiście tak było?

Nagle rozległo się upiorne zawodzenie. Dezmont mógłby przysiąść, że identyczne wyobrażał sobie tworząc własną opowieść o wiedźmie.

- Weź się w garść! Przecież sam wymyśliłeś tę cholerną bajkę – warknął, po czym wyciągnął zza pazuchy bukłak z księżycówką. Wziął dwa duże łyki i od razu odzyskał dawny spokój i opanowanie. Dźwięki jednak wcale nie cichły, a wręcz przeciwnie zdawały się nasilać. Przez alkohol ciekawość zaczęła brać górę nad strachem. Pochwycił jakiś większy drąg i ruszył w kierunku odgłosów. To przechodziły z charczenia w wycie, a nawet w pojękiwanie. Kiedy był już wystarczająco blisko rozpoznał dwoje ludzi. Wyglądało na to, że stary sędzia Harl postanowił zabawić się kosztem córki karczmarza. Harl był w wieku, w którym już nikt by go o to nie posądzał. Wygląd mówił to samo – pomarszczona, zwiotczała skóra, ciemno szare, przetłuszczone włosy. Lekka nadwaga, która nie była tak bardzo widoczna przy jego sporym wzroście. Dezmont może i nie lubił ludzi, ale nie mógł bezczynnie patrzeć na gwałt na bezbronnej dziewczynie.

- Zostaw ją w tej chwili! – sam się zdziwił z jaką łatwością mu to przyszło, ale teraz oprócz alkoholu w jego żyłach pojawiła się także adrenalina.

- Bo co mi niby zrobisz chłoptasiu? – z ust Harla również wydobywał się odór alkoholu. To oznacza, że może nie być aż tak niebezpiecznym przeciwnikiem. Nie oznacza to jednak, że należy go nie doceniać. Zwłaszcza, że Dezmont był dość wątłym młodzieńcem, Harl z pewnością przewyższał go masą.

- Bo to – Dezmont zamachnął się by uderzyć gwałciciela, lecz ten uniknął uderzenia schodząc z linii ataku.

WERSJA ROBOCZA

- Coś mi się zdaje, że nigdy nie zdołasz opowiedzieć czego się dziś dowiedziałeś w tym lesie – szyderczy uśmiech pojawił się na jego twarzy, a w jego ręce znalazł się nóż myśliwski. Był często używany do polowań na dzikie zwierzęta i wyglądał na cholernie ostry. Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, obaj ważyli swoje szanse i szukali słabych punktów u przeciwnika.

- Jak zwykle moje cholerne sumienie wpakowało mnie w niezłe bagno – mruknął do siebie, po czym zaszarżował na sędziego uderzając drągiem w jego nogi. Harl padł jak długi, a dziewczyna zerwała się i zaczęła biec w stronę wsi.

- Gdzie się tak śpieszysz dziwko? Jeszcze z tobą nie skończyłem – może i nie mógł się tak szybko podnieść z ziemi, ale za to mógł rzucić nożem. Co prawda stałby się bezbronny, ale był tak zaślepiony gniewem i żądzą, że niewiele wtedy myślał. Posłał nóż, który ugodził dziewczyną w plecy. Na chwilę znieruchomiała, padła na kolana, a następnie osunęła się na ziemię. Dezmont był w lekkim szoku, ale na szczęście nie stracił całkowicie zdrowego rozsądku. Uderzeniem w głowę pozbawił mężczyznę przytomności i puścił się biegiem w kierunku rannej dziewczyny. Uklęknął nad jej ciałem, a materiał spodni na jego kolanach zaczął przesiąkać krwią. Dziewczyna straciła jej stanowczo zbyt wiele… nie dało się nic zrobić. Cicho łkając wkrótce wyzionęła ducha. Dezmont z wściekłością uderzył pięścią w glebę. Gorycz przepełniała jego serce. Wyrwał nóż z jej ciała i postanowił dokonać krwawej zemsty. Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w kierunku, w którym zostawił nieprzytomne ciało sędziego. Jednak Harla już tam nie było. Czyżby udawał tylko nieprzytomnego, a gdy tylko Dezmont się odwrócił ten uciekł? Dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać w jak cholernie ciężkim położeniu się znalazł. W przeciągu jednej chwili całkowicie wytrzeźwiał. Ma krew ofiary na rękach, główne narzędzie zbrodni. Komu uwierzą? Odludkowi czy szanowanemu obywatelowi, który piastował wysokie stanowisko we wsi przez lata? Odpowiedź była aż nadto oczywista. Co teraz? Uciekać? Ale dokąd? Nie mógłby zostawić też swojego dobytku, który obecnie znajdował się w wynajmowanym przez niego pokoju u karczmarza. Może nie było tego

WIEŚ JAKUBCZA

wiele, ale większość rzeczy miało głównie wartość sentymentalną lub stanowiło podstawowy dobytek. Czas naglił, a pod osłoną nocy mógł jeszcze wiele zdziałać. Ruszył w kierunku, z którego przybył. Poszycie lasu na co dzień miękkie i suche, teraz przypominało bardziej moczary. Każdy krok wywoływał plusk wody. W uszach człowieka, który ledwo przetrzeźwiał, brzmiało to jak wybuch granatu. Po kilku krokach ugrzązł butem w jakiejś dziurze. Próbował złapać się pnia, aby nie upaść. Nie przyniosło to jednak oczekiwanego skutku. Kora okazała się śliska, mężczyzna próbował asekurować się rękami, niestety nie udało mu się w porę zasłonić głowy i uderzył nią w wystający pień. Upadek zwieńczył wielki plusk. Poziom wody wynosił ledwie kilka centymetrów, więc nie zdołał zakryć pnia, ani tym samym złagodzić uderzenia. Uderzenie było dość silne, by pozbawić go przytomności.

Kiedy się ocknął księżyc w dalszym ciągu świecił na niebie, chociaż częściowo był zasłonięty przez ciemne chmury.

- Ile czasu byłem nieprzytomny? – zapytał się w duchu. Wsparł się rękami o podłoże i podniósł się z gleby. Poziom wody spadł. Co nie zmienia faktu, że dalej było wilgotno. Dezmont jednak postanowił w dalszym ciągu to ignorować i puścił się biegiem w kierunku karczmy. Wszystkie drzewa i krzewy mijał niemal na wyczucie. Nikłe światło, jakie dawał księżyc, stanowiło niewielką pomoc. Kilkukrotnie mało brakowało, a znów by upadł. Za każdym razem jednak jakimś cudem łapał równowagę i coraz bardziej zbliżał się do celu. Biegł jak oszalały, a nigdy nie szczycił się jakąś wybitną kondycją. Dodatkowo ciało odczuwało skutki nadmiernego picia… Dezmont przeklął się w duchu za tę ułomność. Postanowił też w najbliższym czasie ograniczyć trunki o większej mocy.

Gdy zaświtała przed nim polana, która znajdowała się już bardzo blisko karczmy, w głowie miał już cały plan. Jak niepostrzeżenie zabrać swoje rzeczy i jak zniknąć nim ktokolwiek się zorientuje. Niestety, wszystko prysło jak wielka magiczna bańka z jednej z jego opowieści. Kilkanaście osób już na niego czekało. Nie był to tłum z widłami i pochodniami. Kilka osób sprawiało wrażenie jak-

WERSJA ROBOCZA

by nie do końca wiedzieli po co się tu zebrali. Widocznie tylko tyle osób udało się zebrać o tej porze.

- Stój morderco! – wykrzyknął sędzia, który najwidoczniej im przewodził. Nic w tym dziwnego, na pewno zdał już pełną relację z swoją wersją wydarzeń. Oznaczało to tyle, że Dezmont nie będzie miał wiele do powiedzenia w tej sprawie. Niewiele myśląc rzucił się w kierunku karczmy. Niestety dwójka jegomościów słusznej budowy pochwyciła go. Doszło do szamotaniny w wyniku, której chłopi przygwoździli go do ziemi. Jeden z nich wpierw założył mu żelazny uścisk, a następnie postawił na nogi.

- Próbujesz zbiec? Ha! Na nic ci się to zda – to prawda, próba ucieczki na pewno nie wpłynęła dodatnio na jego wizerunek. Teraz z unieruchomionymi rękami, co chwilę popychany, podążał za sędzią, który wyznaczał kierunek pochodu. Choć z góry wiadomo było gdzie się udają. Co prawda przestępstwa zdarzały się tutaj niezmiernie rzadko, ale jeśli już, to winowajcę zawsze wrzucano do winiarni. Właściwie winiarnią było tylko z nazwy, ponieważ miejscowi pędzili tutaj księżycówkę.

- Prawo wymaga od nas, aby przeprowadzono ci uczciwy proces. Poczekasz tam na jutrzejsze zebranie rady, która zawyrokuje o twojej winie… czy też niewinności – w ostatnich słowach czuć było cynizm. Oczy sędziego uśmiechały się szyderczo, choć po jego twarzy nie było tego widać wcale. Jeden z osiłków otworzył klapę, drugi bezceremonialnie cisnął nim niczym workiem kartofli. Dezmont z łoskotem wylądował na marmurowej posadzce. Podniósł się i ujrzał jak jego oprawcy zamykają wejście. Ostatnie promienie światła nikły między zamykanymi drzwiczkami. Następnie dało się słyszeć jak czymś ryglują wejście, aby mieć pewność, że domniemany zbrodniarz nie ucieknie. W pomieszczeniu nie było już żadnego alkoholu, który tutaj leżakował. Wszystko znajdowało się w karczmie… choć właściwie mężczyzna powiedział już dość alkoholowi. Bezsilnie wsparł się plecami o ścianę, po czym osunął się do pozycji siedzącej, załamał ręce i zaplótł je za głową.

- To chyba najczarniejsza noc w moim życiu… dosłownie – uśmiechnął się gorzko do siebie i utkwił wzrok w ciemności.

WERSJA KROCZA

Wina

Nazajutrz rozpoczęto proces sądowniczy. Należy nadmienić, że niemal od wieków nie było tu przewinienia większego od kradzieży jabłka na straganie, a przynajmniej takiego, o którym by wiedziano… Niemniej jednak prawo obowiązywało i należało go bezwzględnie przestrzegać. W przeciwnym razie powstał by „elficki burdel", jak mawiają co poniektórzy. Oznacza to z grubsza tyle, że wszystko byłoby tak cudowne i bezkarne, że nie wiadomo by było za co się złapać. Dosłownie… W zasadzie to etymologia tego zwrotu jest bardziej zawiła, ale poprzestanę na tym prostym wytłumaczeniu.

O winie czy też niewinności oskarżonych w sprawach cięższych decydowała Najwyższa Rada w pełnym składzie. Sama Rada została powołana wieki temu, aby lepiej sprawować pieczę nad obywatelami. Niektóre z jej ustaleń zmieniły się wraz z upływem czasu, jednak część pozostała. Jej Skład zmieniał się co pięć lat w wyborach, a właściwie powinien… zasadniczo od wielu lat pozostawał ten sam dopóki któryś z jego członków nie mógł dalej piastować stanowiska. W jej skład zawsze wchodzi pięciu członków. Obecnie są to: Morrigan Le Flame, Orm Greedster, Thane Corrdias, Pre Krasna oraz (oczywiście) Harl Stenson.

Z samego rana Harl obwieścił całemu miastu co się wydarzyło. Oczywiście nie obnosił się z tym oficjalnie. Wysłużył się kilkoma poddanymi, którzy dodatkowo nie mieli oporów, aby lekko ubarwić wersję wydarzeń. Teraz wszyscy mieli miejskiego bajarza za prawdziwe zło wcielone.

W tym czasie Harl osobiście złożył wizytę u Morrigan i przedstawił jej całą sprawę. Morrigan była wiekową kobietą, nikt nie pamiętał ile dokładnie miała lat, ale z pewnością przekroczyła setkę. Niektórzy złośliwcy twierdzili, że pewnie i z pięć. Miała długie szare włosy, które zawsze były ułożone w nieładzie. Jej pomarszczona twarz zdradzała, że była świadkiem niejednej tragedii. Gdy otworzyła drzwi dopiero blady świt przedzierał się przez jej zaspane oczy. Była ubrana w jakąś zniszczoną szatę, która prawdo-

WERSJA ROBOCZA

podobnie była przeznaczona jedynie do spania. Najważniejsze jednak, że była głową osady. Od lat zajmowała najwyższą pozycję społeczną i to do niej kierowano wszelakie skargi, zażalenia i prośby. Była to też jedyna osoba, która mogła zwołać posiedzenie rady.

Jej domostwo przedstawiało się jako zwykła chatka, choć jej pozycja wskazywała by na coś całkiem przeciwnego. Właścicielka jednak gardziła przepychem, a stawiała bardziej na praktyczność. Prawdziwe bogactwa zresztą znajdowały się wewnątrz, jednak ludzie mają różne pojmowanie na temat bogactwa.

Harl ledwie zapukał do drzwi, a te zaraz zostały otwarte na oścież. Towarzyszył temu charakterystyczny, bolesny dźwięk ścierania się drewna z podłożem, gdyż te najlepsze lata swej świetności miały już dawno za sobą.

- Czemuż to przychodzisz do mnie o tak iście barbarzyńskiej porze? – spytała z wyrzutem, a zanim sędzia zdołał odpowiedzieć zdzieliła go drewnianą laską po głowie.

- Nigdy więcej tego nie rób chłopcze. Dobrze ci radzę! – pomachała mu laską tuż przed nosem.

- Niech mi pani wybaczy, ale to sprawa, którą należy jak najszybciej załatwić. Córka karczmarza została zamordowana. – Wydyszał Harl. Był dodatkowo mocno zirytowany, ale postanowił stłumić w sobie złość do Morrigan na rzecz zjednania jej sobie.

- Jakże to? Kiedy?

- Wczorajszej nocy… i… - zatrzymał tutaj na chwilę głos, udając lekkie roztrzęsienie. Trzeba przyznać, że był całkiem niezłym aktorem.

- No i co chłopcze? Gadaj wreszcie, toć nie mamy całego dnia. A w moim wieku liczy się każda chwila…

- …i mamy głównego podejrzanego!

- Któż to taki?

- Dezmont… Wie pani, ten gawędziarz z karczmy – dodał po chwili, jakby nie był pewien czy Morrgian go dobrze usłyszała.

- Tak. Doskonale zdaję sobie sprawę kim jest Dezmont – urwała na chwilę i zatopiła się we własnych myślach analizując dogłębnie zaistniałą sytuację.

WERSJA ROBOCZA

- Macie na to jakiekolwiek dowody? Skąd to podejrzenie? - Morrigan nigdy nie ufała nikomu… a zwłaszcza Harlowi. Była bardzo podejrzliwa w stosunku do jego burzliwej kariery, którą zrobił w tak krótkim czasie. Prawdą jest, że było wielu kandydatów na stanowisko sędziego. W tym wielu, którzy znacznie lepiej prosperowali. Dziwnym trafem złożyło się, że część z nich się potruła, część zrezygnowała, wyjechała lub zaginęła. Mimo wielu jej starań nie udało jej się dopatrzyć w tym ręki Harla. Jej intuicja jednak jej podpowiadała, że tak właśnie było. Mimo wielu lat, które upłynęły od jego awansu, ich stosunki wcale nie uległy poprawie.
- Wybiegł z lasu, w którym dokonano mordu. Był cały oblany krwią. Jednak co najważniejsze widziałem jak ją uśmiercał, a nawet… gwałcił – wydawało się, że odegrał rolę znakomicie, a każde jego słowo było całkowicie realne. Jednak równie mocno wydawało się, że na Morrigan nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. W tym samym momencie przypomniał sobie o jeszcze jednej istotnej sprawie – narzędziu zbrodni. Nóż musiał pozostać, gdzieś w lesie albo Dezmont był na tyle głupi by zabrać go ze sobą. To może być najsilniejszy dowód. Przez chwilę rozważał czy nie zataić tej informacji. Wysłać swoich pomagierów i o wszystko zadbać. Wysłanie ludzi ze strony Morrigan niosło ze sobą większe korzyści. Jeśli winowajca spróbuje uciec lub popełni jakiś błąd jego sprawa będzie przesądzona, a może nawet zabiją go przed procesem!
- Być może warto byłoby go jeszcze przeszukać. Może ma przy sobie jakieś dowody zbrodni?
- To nie zrobiliście zaraz po tym jak go zatrzymaliście?! Idioci, mogłam się tego spodziewać… Tak czy inaczej ogłaszam zebranie Najwyższej Rady. Tę sprawę należy jak najszybciej wyjaśnić!
- Mogę wysłać swoich gońców do pozostałych członków Rady.
- Nie kłopocz się, wyślę własnych posłańców – ale Harl ani myślał na to przystać. Postanowił wysłać swoich gońców mimo to, a dodatkowo zaanonsować własną wizytę u każdego z członków Rady jeszcze przed posiedzeniem. Ba! Zrobił to nim tutaj przybył!
- Zebranie odbędzie się jak zawsze w mojej chatce. Proponuję zrobić to punktualnie o siedemnastej, choć domyślam się, że panna Pre

WERSJA ROBOCZA

jak zwykle się spóźni – punktualność łatwo było osiągnąć dzięki zegarom. W każdym rejonie zegary wyglądały inaczej i były inaczej zasilane. Tutaj prawie wszystkie zasilała energia słoneczna. Panna Pre miała ich nawet kilkanaście, jednak punktualność nie była jej dobrą stroną.

- Zatem do zobaczenia o siedemnastej – odpowiedział sędzia. Spodziewał się takiego obrotu sprawy. Dokładnie zaplanował sobie wizytę u każdego z pozostałych członków, tak aby wynik posiedzenia był zdecydowanie na jego korzyść.

Zaraz po opuszczeniu chatki Morrigan udał się prosto do Orma. Jego najłatwiej będzie przekabacić na swoją stronę. Orm był kapłanem Avexis – bogini czczonej wszędzie w okolicy. Była to jedna z tych dobrych bogiń. Jej główną domeną była światłość, choć była traktowana głównie jako opiekunka, a jej pomnik stał w każdym większym mieście. Cóż za niefartowny zbieg okoliczności, że jej kapłanem został ktoś taki jak Orm. Był on osobą ze wszech miar sprzeczną z pełnioną funkcją. Nie był ani bogobojny, ani zbyt religijny. Więc dlaczego? Dla korzyści rzecz jasna. Pozycja zapewniała mu wszystko o czym zawsze marzył – władzę, ale z ograniczoną odpowiedzialnością; majątek, ale bez wysiłku oraz zaufanie, które nie wymagało lat starań, ale dostarczało wiele cennych informacji. Nie każdy jednak wiedział o jego słabościach i jak je wykorzystać. Harl już dawno zasięgnął języka gdzie trzeba i był doskonale przygotowany na pertraktacje.

- Niechaj światło Avexis zawsze Ci przyświeca! – wykrzyknął Harl przestępując próg świątyni, w której obecnie przebywał Orm. Świątynia, mimo hojnych datków wiernych, nie była bogato zdobiona. Była wykonana najmniejszym możliwym nakładem pracy i kosztów, aby jak najwięcej kosztowności pozostało w kieszeni Orma. Budynek z szarego kamienia, w środku zapełniony szeregami drewnianych ław. Na środku znajdował się okrągły ołtarz, a przy nim niska, gruba postać okryta mleczną szatą ze złotymi zdobieniami. Gdy tylko echo doniosło słowa do jej uszu, odwróciła się i można było ujrzeć jej twarz. Był to Orm we własnej osobie, jego świńska gęba, jego małe świecące oczy oraz wielkie ego.

WERSJA ROBOCZA

- Witaj w skromnych progach świątyni. Czym mogę Ci służyć?
- Przybyłem porozmawiać na temat zbrodni, którą ostatnio popełniono, a właściwie zbrodniarza.
- Słyszałem już co nieco o owym zbrodniarzu – Harl był zaskoczony tymi słowami. W końcu postanowił udać się do Orm w pierwszej kolejności, pomijając pośredników. Mimo to zachował kamienną twarz.
- Domyślam się, że nie wiesz wszystkiego. Przybyłem tutaj by upewnić się, że podejmiesz słuszną decyzję.
- Zapewne chcesz przedyskutować ze mną czy to też jego wina? Czyż nie? – zapytał rozbawiony oczywistością zamiarów sędziego.
- Ahhh wina, wina to przecież takie napoje z owoców… czyż nie? – uśmiechnął się szyderczo, choć starał się wyglądać niewinnie.
- Taaa…k – odpowiedział mu niepewnie, krztusząc się przy tym własną śliną. Czyżby Harl za wcześnie zaczął przechodzić do sedna, powoli zdradzając swoją kartę przetargową?
- Czy coś się stało?
- Ależ nie, skądże… Więc przybyłeś to porozmawiać o winie? Ekhem… jego winie – na twarzy kapłana widać było krople potu, które obficie spadały teraz na posadzkę. Strzał w dziesiątkę. Największą słabością Orma były wina. Jak donosili informatorzy i plotkarze był ich wielkim amatorem. Właściwie był to jego największy fetysz i najprawdopodobniej swoiste uzależnienie. W ciągu dnia nie widać było po nim stanu upojenia. Woń, które roztaczały wina można było tłumaczyć na wiele sposobów. Mogły to być olejki lub też wino, z którego korzystało się podczas wielu ceremonii – idealna przykrywka.
- Tak, porozmawiajmy o winie – Harl miał go już w garści. Nie umiał dłużej opanować szyderczego śmiechu, który czasem wyrwał mu się między zdaniami. Informację o fetyszach kapłana zdobył już o wiele wcześniej. Zawsze lepiej być zabezpieczonym. Dlatego miał też przygotowany odpowiedni zapas trunku.
- Więc uważasz, że chłopak jest winny, czy tak? Jak… eeee… bardzo winny?

WERSJA ROBOCZA

- Jak dziesięć win innego człowieka – sędzia z przyjemnością podjął grę w półsłówka i przenośnie. Teraz trzeba się tylko odpowiednio wytargować i dobrze odczytywać intencje.
- Jakoś mnie to nie przekonuje. W ogóle nie pachnie winą. – Orm był twardym negocjatorem, lecz widać było, że już cieknie mu ślinka.
- Jakże to! Pachnie tak mocno winą jak dwadzieścia złotych jagód chryńskich w pełnym rozkwicie! – odparował Harl z udawaną urazą w głosie. Tak naprawdę podkreślił teraz wartość swojej karty przetargowej do takiego stopnia, że grzechem byłoby odmówić.
- Rzeczywiście, przyznaję! Wygląda mi na prawdziwego winowajcę, chyba nawet nie będzie sensu go przesłuchiwać – świńskie oczy Orma aż rozbłysnęły. Cheryńskie złote jagody były bardzo luksusowym owocem, zwłaszcza obecnie. Do tego dwadzieścia bukłaków! To znaczy jeśli dobrze się zrozumieli. Niektórzy mogliby się zastanawiać po cóż była ta cała maskarada słowna. No cóż ściany mają uszy, a świątynia jest miejscem publicznym. Jeśli ktokolwiek powtórzyłby ten bełkot to najprawdopodobniej nic by z tego wy-wnioskował. Tym sposobem obaj chronili swoje interesy.
- Dobrze zatem… - w tym momencie do świątyni wbiegł posłaniec – młody chłopak, lat około dziesięciu.
- Oooo… ummm… pan sędzia też tutaj… to znaczy… eeee… niech światło Avexis zawsze wam przyświeca! Miałem przynieść wiadomość o zebraniu Najwyższej Rady – wybąkał chłopiec.
- Och nie ma takiej potrzeby, już wszystko wiem. Panie Stenson, ufam, że rychło zobaczymy się na zebraniu – Orm posługiwał się bardzo wzniosłym i oficjalnym tonie. Po dawnym zakłopotaniu nie było śladu, a resztki potu starł z czoła karmazynową chustą.
- Istotnie, do zobaczenia – Harl skłonił się lekko i zaczął się oddalać z świątyni. Zostało jeszcze dwóch członków rady, których należało odwiedzić, nie było czasu do stracenia.

WERSJA PUBLICZNA

Druga strona medalu

Morigan skierowała swe kroki w stronę winiarni. Miała dziwne przeczucie, że należało spytać się o bieg wydarzeń samego oskarżonego. Gdy tylko dotarła na miejsce strażnicy spojrzeli na nią podejrzliwym wzrokiem, lecz nawet nie poruszyli ustami. Spojrzała na nich, a Ci zasalutowali jej w typowy dla miejscowej ludności sposób. Przyłożyli prawą pięść kciukiem w stronę serca, po czym zakręcili nią młynka i lekko się pochylili. Morrigan odpowiedziała im skinieniem głowy, a oni na ten znak rozstąpili się robiąc przejście do więźnia. Dezmont siedział skulony w pozycji embrionalnej pod przeciwległą ścianą. Wyglądał tragicznie, jakby miał umrzeć z niedożywienia, choć oczywiście pilnowano, aby więzień dostawał w miarę regularne posiłki. Jego oczy straciły na blasku, a mimika twarzy nie wyrażała absolutnie nic. Tym pustym spojrzeniem gapił się nieustannie w drzwi. Nie zmieniło tego nawet pojawienie się staruszki w drzwiach. Dopiero jej głos przywołał go do przytomności.

- Dezmoncie, musimy porozmawiać… - zaczęła ciepłym głosem.

- Nie ma o czym, moje słowa nie tylko nie mają znaczenia, ale nawet wartości przeciw słowom Harla – odparował beznamiętnie.

- Posłuchaj chłopcze! Może ty tak uważasz, ale niektórym jeszcze zależny na sprawiedliwości. Nawet w miejscu takim jak to. Więc może lepiej racz łaskawie współpracować, póki jeszcze jestem w nastroju – warto wspomnieć, że Morrigan miała dość impulsywny charakter. A to była chyba najłagodniejsza wypowiedź na jaką była się w stanie zdobyć w przypływie złości.

- Ja… przepraszam. Po prostu czuję się taki zagubiony… Jakby wszyscy byli przeciwko mnie – Najwidoczniej taka przemowa była czymś co było potrzebne Dezmontowi do otrząśnięcia się.

- Już dobrze dziecko. Teraz opowiedz mi co się tam wtedy stało – Morrigan też już się uspokoiła.

WERSJA ROBOCZA

- Dobrze, więc wszystko zaczęło się… - i tak też opowiedział jej całą swoją przygodę, ze wszystkimi szczegółami. Nie pominął absolutnie niczego.

- Teraz rozumiem…

- Naprawdę? I naprawdę mi wierzysz?

- Drogie dziecko, kiedy będziesz w moim wieku nauczysz się wielu rzeczy. Między innymi jak postrzegać pewne sprawy. Wraz z wiekiem przychodzą… swoiste umiejętności – Dezmont już chciał spytać jakie to umiejętności, ale Morrigan szybko go pożegnała i ruszyła w drogę. Więc jednak jest ktoś kto mu wierzy, może nie wszystko jeszcze stracone? Morrigan znana była mu ze swej mądrości i sprawiedliwości, czyżby teraz miało się to wszystko potwierdzić? Jego oczy odzyskały część blasku i teraz bardziej optymistycznie zapatrywał się na przyszłość.

Morrigan już dawno podejrzewała Harla… może nie o coś aż tak skrajnie drastycznego, ale znała go wystarczająco dobrze, by móc stwierdzić, że jest to prawdą. Teraz natomiast należało przedyskutować sprawę z kimś kto mógł na całą sprawę spojrzeć bardziej optymistycznym okiem – z Thanem. Thane był niegdyś bardzo znanym okolicznie rycerzem. Obecnie odszedł na zasłużony odpoczynek i tym samym przez szacunek ludzi zdobył pozycję w Radzie. Jego domostwem była zwyczajna chata pokryta strzechą, obok niej znajdował się prywatny plac treningowy Thanea. On sam też wyglądał dość zwyczajnie, poza dość silnie zarysowanymi mięśniami. Miał przyjazną twarz, pokrytą bliznami oraz krótką brodą zostawioną w nieładzie. Można żartobliwie by rzec, że jego głowę również okrywała strzecha. Sam kilkukrotnie wyrażał się tak o swoich blond włosach, które nigdy nie widziały grzebienia. Tam też właśnie go znalazła. Mimo upływu lat były rycerz wcale nie wyszedł z wprawy. Aktualnie Morrigan była świadkiem wspaniałego widowiskowego pokazu fechtunku. Thane miał wokół siebie pięć kukieł treningowych. Zakręcił młynka mieczem i odciął pierwszej głowę, następnie wykorzystując impet uderzenia uderzył następną, tę znajdującą się za nim. Uderzył w punkt witalny umiej-

WERSJA ROBOCZA

scowiony pod pachą, potężnym kopnięciem frontalnym połamał kukłę po prawej. Wykonał obrót w stronę tej znajdującej się po przeciwległej stronie i uderzył ją jelcem i przeciągnął ostrzem, rozcinając głowę na równą połówkę. Ostatnią nie zdążył się już zająć, gdyż właśnie w tej chwili zobaczył swego gościa. Jego oddech był lekko przyspieszony. Kiedyś takie ćwiczenia w ogóle by go nie zmęczyły. Może to nie lata, a przebyte kilometry?

- Morrigan! Co mogę dla ciebie zrobić, pani? Może wejdziemy do środka, zaparzę herbaty… - odpowiedział bez cienia zmęczenia w głosie. W dalszym ciągu był w bardzo dobrej formie.

- Witaj Thane, obawiam się, że niestety nie mamy czasu na takie grzeczności.

- Co się stało?

- Być może słyszałeś o ostatnich zamieszaniach…

- Tak, oczywiście jestem tego świadom. Chciałabyś poznać moją opinię na temat tego chłopaka?

- Właściwie to chciałabym ci przekazać to, czego udało mi się dowiedzieć. Później powiesz mi co o tym myślisz – tak też zrobiła. Opowiedziała historię Dezmonta oraz swoje wcześniejsze podejrzenia dotyczące Harla.

- Teraz rozumiem. Moje odczucia były bliskie twoim. Znasz mnie, nigdy bym nie skazał niewinnego chłopaka.

- Zdaje sobie z tego sprawę, lecz jest pewien drobny szczegół, który może przeważyć sprawę. Chodzi o broń, którą została zabita ofiara. Jej zwłoki zostały znalezione, lecz nie było przy niej narzędzia zbrodni. Dezmont musiał zgubić ją gdzieś w lesie.

- Ahhh… Rozumiem, wyruszę niezwłocznie.

- Uważaj Thane, jestem pewna, że Harl już wysłał swoich ludzi.

- Tak zrobię, bywaj pani – skłonił lekko głowę i ruszył do swojego warsztatu po wyposażenie. Z zewnątrz mógł wyglądać na nadgryziony zębem czasu, lecz w środku wyglądał na bardzo zadbany. Na ścianach wisiały najróżniejsze rodzaje broni od włóczni po dziwne ostrza poumieszczane na linkach lub łańcuchach. Pośrodku był stół, na którym znajdowały się świeżo naostrzone i wy-

WERSJA ROBOCZA

polerowane bronie. Thane chwycił 2 miecze średniej długości, komplet sztyletów służących do rzucania na średni dystans oraz skórzaną torbę o nieznanej zawartości. Następnie podszedł do ściany i ściągnął z niej płaszcz z kapturem. Był on lekki i idealnie dopasowany, Thane osobiście go wykonał. Dodatkowo był barwiony na kolor zielony, a w materiał zostały wplecione przeróżne rośliny, dzięki czemu doskonale sprawdzał się jako kamuflaż. Założył cały sprzęt i wyruszył w stronę lasu, dokładniej rzecz wydedukował z opowieści Morrigan obszar, w którym mogła znajdować się broń.

W tym samym czasie ludzie Harla robili dokładnie to samo. Przeczesywali las w poszukiwaniu noża. Była to żmudna robota, ponieważ nikt z nich nie miał bladego pojęcia gdzie zacząć. Przybyli na miejsce już kilka godzin wcześniej, jednak obszar do przeszukania był całkiem spory.

- Nie rozumiem tego… – odezwał się najmłodszy z dziesięciorga poszukiwaczy. Miał dopiero trzynaście lat, a najemnikiem Harla został ledwo miesiąc temu.

- Czego nie rozumiesz Hank? – opowiedział mu Merl, był to on najstarszy z całej bandy i tym samym był też najbardziej wśród nich poważany.

- Po co to wszystko? To znaczy, po jasną cholerę szukamy tego kawałka złomu? Nawet jakbyśmy go nie znaleźli to i tak go skarzą! – Hank nie był uważany za zbyt bystrego. Naturalnie takie pytania z początku lekko zszokowały Merla. Następnie przyszło rozbawienie.

- A nie przyszło ci do głowy, baranie, że ktoś inny może go znaleźć?

- Nawet jeśli to co z nim zrobią? To żaden dowód, nikt mu nie uwierzy, że to nóż pana Harla.

- Ten nóż pan Harl ma ze sobą od lat. Wiele osób go z nim widziało. Wiedzą, że należy do niego – odpowiedział na kolejny wyrzut i miał nadzieję, że to go wreszcie uciszy.

- Ale przecież zawsze mógł go wyrwać z jego dłoni, to żaden dowód. Jak dowiodą winy pana Harla? – tymi pytaniami zasiał

WERSJA ROBOCZA

ziarno zwątpienia w cel ich misji. Część najemników od jakiegoś czasu zaczęła się przysłuchiwać ich rozmowie. Chłopak miał sporo racji.

- Posłuchaj mnie smarkaczu… Zrobimy to, bo takie były rozkazy. Nie potrzebuję do tego jakiegoś głębszego uzasadnienia – odparł na zarzuty. Jego twarz zaczęła przybierać lekko czerwonawy odcień. Podważanie celu tej eskapady, dotykało go personalnie i zaczął się denerwować.

- Ja żem słyszoł, żech zielorki znajo jakiech sposoby na to. Sam chopok mi to sie niewinny wydoje – Pietrek dorzucił swe trzy grosze. Był to jeden z najbardziej zakutych łbów w osadzie, pracował dla Harla niemal za darmo. Był wyzyskiwany do absolutnych granic możliwości, był podatny na sugestie i wszelakie zabobonne opowieści. Tych wysłuchał bardzo wiele, głównie za sprawą Dezmonta.

- Zamilcz Pietrek! Jeśli ktoś z was się boi, to może teraz zawrócić, ale pamiętajcie, że o wszystkim dowie się pan Harl. Was za to spotka oczywiście zasłużona „nagroda" – tymi słowami Merl uciął rozmowę. Ludzie popatrzyli na siebie nawzajem i wrócili do poszukiwań.

- Hej, w tych krzakach coś się błyszczy! – krzyknął jeden z poszukiwaczy. Wszyscy spojrzeli z nadzieją w stronę owych krzaków. To pewnie fałszywy trop, ale na chwilę podniosło to wszystkich na duchu… Dosłownie na chwilę.

-Ej, co do… - oczom wszystkich ukazała się dorosła samica dagrela. Istoty, która przypominała budową tygrysa, jednak jej ciało było pokryte kościanym pancerzem. Ogon natomiast składał się tylko z kości, formujących niepełne trójkąty. Piekielnie ostre. Świecącym obiektem okazały się jej długie, srebrzyste pazury. Wykrzywione kły lśniły, odbijały promienie powoli zachodzącego słońca. Bestia rzuciła się na pierwszą ofiarę. Jej pazury rozorały klatkę piersiową nieszczęśnika. Cięcia na tyle głębokie, że połamały żebra i uszkodziły organy wewnętrzne. Pewnie wykończyłaby go błyskawiczna utrata dużej ilości krwi, gdyby nie to, że sekundę później jego głowa została w dużej mierze nadgryziona. Potężne zębi-

WERSJA ROBOCZA

ska degrela z łatwością rozkruszyły czaszkę. Bestia zaczęła groźnie łypać wzrokiem na swoje następne potencjalne ofiary i skupiła się na tym znajdującym się najbliżej niej. Zaczęła przygotowywać się do kolejnego ataku. Naprężyła łapy i w dwóch skokach doskoczyła do celu. Warknęła i uderzyła ogonem w łydkę poszukiwacza. Trafiła w więzadła. Strugi krwi zaczęły wypływać z rany. Poszukiwacz nie był dłużej w stanie się poruszać.

Reszta powoli zaczęła otrząsać się z szoku. Trzech zaczęło uciekać. Pozostali wyciągnęli swoją broń - pałki, proste miecze, sztylety i koziki.

- Trzymajmy się razem ludzie! – nawoływał Hank.

- A co z Jose? – spytał ktoś.

- Jemu już nic nie pomoże. Martwmy się o siebie – reszta nawet nie pomyślała, żeby pomóc Jose. Czy mieli rację? Być może z góry był skazany na porażkę. Chwile rozmyślania, które przechodziły teraz przez głowę najemników, rozstrzygnęły jego los. Degrel zaatakował przednią łapą w kolano ofiary, które wysunęło się do przodu wskutek wcześniej zadanej rany. Pociągnął łapą do siebie, tym samym pozbawiając przeciwnika części kończyny. Kawałek nogi dostarczył jej krótkiej rozrywki. Rozrywka ta polegała głównie na rozrywaniu. Szybko jednak się znudziła i degrel rzucił się całym ciałem w kierunku zdobyczy. Powietrze przeszył syk i samica została odrzucona do tyłu.

WERSJA ROBOCZA

Zielona bestia

Wszyscy patrzyli z niedowierzaniem na cielsko, które teraz leciało w kierunku przeciwnym do zamierzonego. Dopiero po chwili dostrzegli dwie strzały zatopione w jej podbrzuszu. Jaka w nich musiała być siła, aby zmienić tor lotu stwora. Rozejrzeli się w poszukiwaniu strzelca, jednak nie dostrzegli nic. W następnej chwili zielona smuga zbliżyła się do bestii. Ta z kolei wydała skomlący skowyt, który poniósł się echem po lesie. Teraz mogli zauważyć, że jest to płaszcz. Osoba w płaszczu delikatnie opuściła się na nogach, aby jednym płynnym ruchem rozpłatać stworowi gardziel. Następnie wstała i powoli obróciła się w stronę swojej widowni. Z jego ostrza, trzymanego w odwróconym chwycie, spływała gęsta, ciemna krew. Ujadanie ucichło. Spod kaptura dało się zobaczyć część jego brodatej twarzy. No chyba, że była to cholernie wysoka krasnoludzica.

- Opatrzcie rannego i zabierajcie się stąd. Zaraz będzie tu więcej tych kreatur – gdy te słowa nie wyrwały ich z osłupienia dodał – Potrzebujecie specjalnego zaproszenia? Jeśli zaraz stąd się nie zabierzecie to nie będzie czego z was zbierać! – ryknął na nich takim głosem, że aż ciarki przebiegły ich od dołu kręgosłupa po czubek głowy.

- Jjj…uż się zabieeeramy. Zaaabrać go, chłopaki – powiedział Hank roztrzęsiony głosem, wskazując przy tym na rannego towarzysza. Rozerwał kawałek swojej koszuli i zrobił z niej prowizoryczny opatrunek, którym obwiązał łydkę poszukiwacza. Wzięli go pod ramiona i ruszyli w stronę wioski. Poruszali tak szybko, jak tylko mogli w takiej sytuacji. Nagle zatrzymali się.

- A co z… - odwrócili się w stronę ich wybawiciela, ale po nim nie było już śladu.

- Lepiej się pospieszmy – ledwie to powiedział, a z dalszej części lasu dało się słyszeć niewyraźne wycie. Pewnie reszta stada zwietrzyła śmierć samicy. Przyspieszyli więc kroku jeszcze bardziej.

WERSJA ROBOCZA

Tymczasem, na wyższym poziomie, wśród wysokich drzew zielona smuga zaczęła przemieszczać się nieznacznie bardziej w głąb lasu. Najemnicy najpewniej byli tak roztrzęsieni, że nie rozpoznali Thane'a, a jemu było to bardzo na rękę. Nie mógł ich zostawić samych sobie… w chwili największego zagrożenia oczywiście. Normalnie w ogóle by się nimi nie przejął. Teraz wystarczyło, że wykończy prawdopodobny pościg, jakim mogła zostać uraczona grupa uciekinierów. Zwłaszcza zapach świeżej krwi był świetnym wabikiem na degrele. Z tego powodu zatrzymał się w niewielkiej odległości od zwłok samicy. Dokładniej rzecz ujmując, na odległość, z której mógł spokojnie trafić cel. Tak znieruchomiały na jednej z grubych gałęzi do złudzenia przypominał listowie. Swoją drogą to właśnie z morby, bo tak zwał się gatunek tego drzewa, były wykonane części kamuflujące w jego płaszczu. Odgłosy zwierzyny coraz bardziej się zbliżały. Mógł dokładnie usłyszeć jak bestie z pośpiechem biegną w stronę, z której wcześniej dobiegło skomlenie członkini stada. Teraz było im pewnie łatwiej, bo dodatkowo wabiła je woń krwi, a być może też i potu. W końcu degrele miały świetny węch. Po drodze musiały łamać gałęzie leżące na podłożu i gnieść wszystko na swej drodze. Thane mógł poszczycić się nadal świetnym słuchem i wyłapywał każdy dźwięki. Łowca zawsze musi słuchać co się dzieje wokół niego. Często przyczynia się to do tego, że żyje dłużej. Sto metrów… wyciąga łuk… pięćdziesiąt metrów… strzała na cięciwę… dwadzieścia… cel… jest już tuż przed nim. Wypuścił strzałę z ręki, lecz w tej samej chwili drzewo delikatnie się zachwiało. Strzałą minęła się z celem o kilkanaście centymetrów. Jeden z degreli zwietrzył Thane na drzewie i uderzył w nie łbem. Sam kamuflaż przecież w ich przypadku niewiele dawał. Powinien był o tym pamiętać. Być może naprawdę już się starzeje. Uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, chociaż nie było zbytnio czasu na zatracanie się w własnych myślach. Wszystkie degrele zebrały się wokół drzewa, było ich siedmioro… jednak nie. Wprawne oko łowcy dostrzegło dwójkę skrytą nieco dalej w zaroślach. Ciekawa strategia, zwłaszcza jak na pozornie bezrozumne istoty. Jeden z nich zaczął się wspinać na drzewo, pomagając sobie

WERSJA ROBOCZA

ostrymi pazurami. Topornie to szło i za pierwszym razem spadł po próbie przesunięcia się wyżej. Wokół drzewa dało się słyszeć potworne wycie, ujadanie i warczenie. Z pysków bestii skapywała gęsta ślina. Każde kapnięcie o glebę zgrywało się w rytmie z biciem serca Thane'a. O tak! Dawno się tak nie czuł, tego mu brakowało. Miał już gotowy plan. Przynajmniej tak mu się zdawało. Na nic lepszego nie było czasu. Po szybkim omieceniu okolicy wzrokiem dostrzegł kilka lian. Nie były częścią morby, a jedynie formą pasożyta, które na niej się zadomowiły. Jednak były silnie ze sobą powiązane i to dosłownie. Dzięki temu nie musiał się obawiać, że się zerwą. Przynajmniej w teorii. Teraz jednak nie było czasu na gdybanie. Rzucił się na jedną z nich oburącz. Na maksymalnym wychyleniu jedną ręką wyjął ostrze, a drugą w dalszym ciągu trzymał się liany. Podczas nawrotu, w jednej chwili obunożnym kopnięciem posłał na ziemię jedną z bestii, a drugiej rozciął krtań ostrzem. To spowodowało też wytracenie przez niego prędkości. Nie mógł więc już polegać na pasożycie. Wypuścił ją więc z ręki. Zwierzyna wydawał się skołowana. Oto też chodziło. Ten moment wykorzystał by skoczyć grzbiet jednej z bestii, uważając przy tym by nie skaleczyć się jedną z ostrych kości wystających z jej kręgosłupa. Szybkim ruchem wbił ostrze w czubek głowy stwora, pozbawiając go tym samym życia.

Bestie właśnie straciły kolejnych dwóch członków stada. Nie zraziło ich to jednak. Komunikując się pomrukami dawały sobie znać o nowej strategii. Piątka bestii zataczała teraz krąg wokół swojej potencjalnej ofiary. Powoli stawiały pewne kroki łapami coraz ciężej wbijając je glebę, która coraz bardziej się pod nimi zapadała.

Thane wyostrzył wszystkie zmysły. Każdy ruch degreli je zdradzał. Zanim pierwszy z nich rzucił się jego kierunku mocniej przycisnął ziemię, wysunął pazury na pełną długość, a jego wszystkie mięśnie zostały napięte. Łowca bez trudu to dostrzegł i był przygotowany. Gdy bestia się na nie rzuciła wykonał tylko delikatne zejście linii atak wraz z przykucnięciem, zmienił ułożenie ostrza w dłoni na odwrotne i z kolejnego gardła polała się gęsta krew. Ciało stwora upadło z głuchym tąpnięciem, wzbijając tym

WERSJA ROBOCZA

samym tuman kurzu. Thane nie czekał. Od razu wykonał przewrót wprzód przez prawy bark i wykonał pchnięcie w kierunku stwora. Ten jednak zdołał wycofać się stając na tylnych łapach. Płynnie przechodząc do ataku pazurami z góry, wydając przy tym złowieszczy bulgot. Thane wysunął nogę, aby powstrzymać atak i trafić napastnika w czaszkę. Jednak do tego nie doszło. Został pchnięty z prawej strony przez twardą czaszkę jednej z bestii. Jego żebra aktualnie nie czuły się najlepiej. W tym momencie degrel zza niego rzucił się na jego klatkę piersiową. Jak mógł zapomnieć o tych skrytych w trawie? Może jednak ich strategia nie była taka głupia i oczywista. Okazało się, że potrafią świetnie ze sobą współpracować. Jeden przyduszał ofiarę, wbijając coraz głębiej swe pazurska i pozbawiając ją cennego tlenu. Dwa najbliższe zbliżały się z jego prawej i lewej. Bardzo powoli, wydając przy tym dźwięki najbliższe podłemu rechotowi. Czuł oddech tego stojącego nad nim. Ślina bestii skapywała na twarz Thane'a, wywołując tym samym odruch wymiotny, a to potęgowało ból w klatce piersiowej. Płuca palił żywy ogień, coraz dłuższy brak tlenu powodował powolną utratę przytomności. Obraz przed nim ulegał rozmyciu, ból w czaszce nie pozwalał mu skupić myśli. Musi… coś wymyślić, bo zaraz będzie skończony. Ostatkiem sił zmusił się by ręką sięgnąć do swojej torby. Jego palce ledwo słuchały poleceń mózgu. Zdołał jednak zacisnąć je wokół małej kulki. W duchu modlił się, aby to była ta właściwa. Ścisnął ją na tyle ile był w stanie. Jego usta poruszały się, jakby próbował wypowiedzieć jakieś słowa. W jednej chwili spomiędzy jego palców wydobyła się cienka strużka ciemnozielonego światła, które go okrążyło. Sekundę później ogarnął go pierścień dymu o tej samej barwie, który odrzucił od niego bestie. Łapczywie zaczął raczyć się powietrzem, gdy tylko nacisk na jego ciało zelżał. Życiodajny tlen znów zapełnił jego płuca. Zawroty głowy zaczęły mijać. Dym powinien unosić się jeszcze przez jakiś czas. Całun miał około dwóch metrów wysokości i cylindryczny kształt, który zacieśnił się wokół właściciela, gdy tylko ten wstał. Powracało trzeźwe myślenie, w duchu żałował, że musiał zużyć jedną ze swoich cennych kulek.

WERSJA ROBOCZA

Te kulki to były orbsy - obiekty z zaklętą w nich magią. Przynajmniej tak powiedział Thane'owi elf, od którego je uzyskał w podzięce za uratowanie życia. Póki co miał okazję skorzystać z ledwie kilku. Teraz zanosiło się na to, że będzie musiał użyć jeszcze jednej. Po oględzinach swego ciała stwierdził, że ma z pewnością złamane trzy żebra i naruszone prawe płuco. Mimo, że już wyswobodził się jakiś czas temu, to dalej miał spore problemy z oddychaniem. Krwawienie było dość rozległe, ale tym by się tak nie przejął, gdyby nie uszkodzenia wewnętrzne. Tym razem sprawnym ruchem ręki sięgnął do torby i wyciągnął z niej brązową kulkę, którą przecinały trzy jasnozielone paski.

- Corde, błagam, daj mi siłę! – powiedział po czym zgniótł kulkę między palcem wskazującym , a kciukiem. Po chwili wrzucił sobie jej pozostałości do ust. Spazmy zaczęły wstrząsać jego ciałem. On sam wydał z siebie dość agonalny skowyt i upadł skręcając się na ziemi. Po chwili wszystko wróciło do normy. No… prawie. Wstał całkowicie zregenerowany, a jego ciało zostało teraz pokryte zbroją. Przynajmniej taką miało to spełniać funkcję. Twarda jak skała, o kolorze i wzorze kory starego dębu. W samą porę, bo całun zaczął opadać. Jednak wokół niego krążyły tylko cztery degrele. Zamiast zaatakować zaczęły się wycofywać. To było podejrzane.

- Co do… - jego słowa zostały przerwane przez wściekłe warczenie, które dobiegało do niego z… powietrza! Właśnie tak! Te przebiegłe istoty wdrapały się na pobliskie konary i teraz skoczył na niego z trzech różnych stron. Paradoksalnie ich siła się zrównała, co pozwoliło Thane'owi ustać w miejscu. Bestie odbiły się od niego nie będąc w stanie wbić swoich pazurów w jego skórę. To potwierdzało skuteczność „zbroi". Teraz przyszedł czas na odwet. Wyciągnął obydwa ostrza. To wcale nie zraziło degreli. Te teraz uformowały szyk, który przypominał grot strzały.

„Zbroja" jednak znacząco ograniczała jego szybkość. Jej ciężar nie pozwalał mu być tak szybkim, jakby tego chciał. Kolejna oznaka starzenia się? Postanowił pozostać w pozycji defensywnej. Przykucnął na jedno kolano trzymając ostrze w prawej dłoni nad głową, ustawione w odwróconym chwycie. Miecz w lewej dłoni był

WERSJA ROBOCZA

ustawiony ostrzem do góry, w stronę przeciwników, dokładnie przed prawą połową ciała.

Degrele zaczęły szarżować w jego stronę tuż przed atakiem czwórka z nich wykonała zmyłkę, zamieniając się miejscami na krzyż. Rzuciły się na niego pierwsze trzy. Czołowy, przywódca watahy oraz dwa położone najbliżej niego. Te zaatakowały na krzyż. Thane rozpłatał pierwszemu całe podbrzusze korzystając z ostrza znajdującego się w jego lewej dłoni. Okazuje się, że to jeden z ich słabych punktów. Kościany pancerz nie dopinał się tam do końca. Drugą ręką uderzył tego po lewej pięścią, po czym korzystając z przeciwsiły wbił drugiemu miecz w czaszkę. Pozostała jeszcze czwórka atakujących. Dwoje z nich rzuciło się w identyczny krzyżowy sposób. Prawą dłonią nie mógł wyciągnąć ostrza, które utkwiło zbyt głęboko w czerepie. Lewą dłonią zasłonił swoją głowę. Miecz przestawił tak, aby ostra część była wymierzona w jedną z istot. Trafił idealnie w sam środek czoła. Druga bestia próbowała bezskutecznie wbić zębiska w rękę. Teraz została więc w ogólnym rozrachunku czwórka.

Dwa z nich zdołały zajść go od tyłu i rzucić się na jego plecy. Nie przejmował się nimi za bardzo ze względu na swoją obecną odporność.

Wyciągnął nóż do rzucania i wbił go w punkt witalny umiejscowiony na podbrzuszu, tego, który próbował właśnie urwać jego rękę. Pochylił się i wykonał przewrót do przodu. Tym samym wyswobodził rękę ze szczęki trupa, wyciągnął nią kolejny nóż i wywrócił dwoje napastników z jego pleców. Przy wyjściu z przewrotu błyskawicznie wbił te dwa noże w ich odsłonięte podbrzusza.

- Zostałeś tylko ty, przyjacielu – rzekł pogodnie do ostatniego degrela, który otrząsnął się po ogłuszeniu. Widząc martwe ciała swoich towarzyszy zrezygnował z ataku. Instynkt wziął górę nad złością. Skomląc zaczął szybko oddalać się od miejsca jatki. Nie był ścigany przez łowcę. Nie było ku temu sensu. Ten, wciąż oddychając ciężko, obejrzał tylko pobojowisko wokół i upewnił się, że wszystko co powinno być martwe, takie jest. Istotnie tak było. Ceremonialnie westchnął, otarł pot oraz krew z czoła. Następnie prze

WERSJA ROBOCZA

ciągnął się i postanowił na chwilę usiąść, odpocząć po tym wszystkim.

WERSJA ROBOCZA

Przepych i drogie kamienie

Pre Krasna właśnie kończyła swą gorącą kąpiel. Była to jedna z jej ulubionych rozrywek. W swojej niewielkiej posiadłości miała łaźnię, która była specjalnie zaprojektowana i przygotowana pod jej zachcianki. Ściany były wykonane w całości z drzewa białego dębu, pomalowanego na złoty kolor. Jej ulubiony, tak w gwoli ścisłości. Na środku była rozległa wanna, wykonana ze skały. Również została pomalowana na złoto, a dodatkowo przyozdobiona wykwintnym, kwiecistym wzorem. U góry zamontowano system bambusowych rur, które transportowały wcześniej ogrzaną wodą i w sposób kaskadowy wpadały do wanny. Drewno bambusowe było naprawdę cennym surowcem sprowadzanym z daleka. Zarówno ono jak i wiele innych przedmiotów w tym domu zostało zdobyte dzięki wpływom, machlojkom, czy też urokowi osobistemu. Rzadziej były to prezenty w podziękowaniu za jej dobroć. Jeszcze rzadziej była ona prawdziwa.

- Woda robi się już chłodna! Skóra zaczyna mi się marszczyć! Wychodzę! – jak powiedziała, tak zrobiła. Powolnym, dostojnym krokiem zaczęła wychodzić z wody. Piana, która wytworzyła się na niej pod wpływem dodania olejków, zaczęła osadzać się na jej ciele. Na jej falistych, złotych włosach objawiało się to w najmniejszym stopniu. Mimo, że te ciągnęły się aż do dolnej partii pleców. Piana zasłaniała niemal w całości spore piersi właścicielki, nieznacznie natomiast jej szczupły brzuch. Jej długie nogi właśnie opuściły wannę. Piany pozbyła się korzystając z specjalnie do tego przeznaczonego brodzika, nad którym miała zakończenie jedna z rur. Swoje śnieżnobiałe, nagie ciało okryła długim jedwabnym ręcznikiem.

- Albrechcie? Jak zwykle. Nigdy…

- Jestem, Lady Pre. Czym mogę służyć? – służalczym głosem zapytał Albrecht, tym samym przerywając jej narzekanie. Był on bardzo starusieńkim pół-elfem. Wyglądał na jakieś sto trzydzieści lat. Cechował go niski, nawet jak na pół-elfa, wzrost. Oczy miał błękitne. Niegdyś pełne życia, teraz już wyblakłe i wysłużone, które

WERSJA ROBOCZA

chyba widziały już zbyt wiele. Jego uszy były bardziej ludzkie aniżeli elfie, co robiło z niego całkiem intrygującą mieszankę. Uszy mieszańców zazwyczaj zostawały elfie. Na sobie nosił szarą marynarkę o wypłowiałym ze starości materiale. Ogólnie wyglądał jakby od lat gnębiło go charłactwo. Jednak miał zapewnione stosunkowo godziwe życie, więc jego aparycja była winą czegoś innego.

Los związał go z Pre lata temu. Nie mógł on znaleźć pracy i żebrał na ulicach. Wtedy to Pre sprowadziła na niego „wybawienie". Zaoferowała pracę w zamian za dach nad głową i wyżywienie. Więc podpisał Kontrakt Krwi. Był najprawdopodbniej zbyt osłabiony, by dokładnie zapoznać się z jego treścią. Chociaż na pewno był świadomy, że Kontraktu Krwi nie można złamać. Następstwem byłaby niechybna śmierć. Lady bezwzględnie to wykorzystała, zdobywając sługę na całe życie. Na mocy tego kontraktu służy jej po dziś dzień.

- Przynieś mi proszę mój aksamitny szlafrok. Ten karmazynowo złoty! – słowo „proszę" w jej ustach brzmiało sztucznie. Mimo, że nie robiła tego umyślnie.

- Tak pani – odpowiedział Albrecht i udał się po szlafrok. Robił to dość mechanicznie. Po tylu latach przywykł do większości rozkazów i zachcianek panienki. Większość rzeczy robił bez żadnego zastanowienia.

- Proszę, oto on – podał jej karmazynowy szlafrok zdobiony złotymi wzorami.

- Dziękuję. Mógłbyś zrobić mi parowej herbaty? – znowu to samo. „Dziękuję" i to pytanie, które wcale nim nie było.

- Ależ oczywiście – odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku kuchni.

Przebrała się w szlafrok i swoim dostojnym krokiem udała się do swojej komnaty. Tam przebrała się w jedno ze swoich kimon, do tego biżuteria oraz drobny makijaż. Strój bił po oczach bogactwem. Był to złoty jedwab. Autentyczny złoty jedwab. Wytwarzany przez złociaki, rzadki gatunek pająków. Oznaka przepychu i wysokiego statusu społecznego. Wielu powiedziałoby, że także snobstwa. Do tego kolczyki z rzeźbionego heliodoru. Jeszcze tylko zało-

WERSJA ROBOCZA

ży buty. Pozłacane sandały na wysokim obcasie. Ostatni krzyk mody wśród bogaczy. Przynajmniej tak jej powiedział przyjezdny handlarz. Zapinała właśnie ostatni rzemień, gdy rozległ się dźwięk dzwonu. Ten zwiastował, że ktoś musiał przybyć ją odwiedzić.

Któż to mógł być? – zastanawiała się.

Albrecht właśnie skończył robić herbatę, gdy dźwięk dzwonu przywędrował do kuchni. Przez chwilę wahał się czy nie zrobić od razu drugiej herbaty dla gościa, ale szybko tego zaniechał. W końcu nie wiadomo kto to i czy zawita tutaj na dłużej. Udał się więc do drzwi, aby powitać gościa.

Harl właśnie zadzwonił do drzwi posiadłości korzystając ze sznura umiejscowionego z prawej strony wrót. Posiadłość może nie była strasznie wielką budowlą, ale to nie przeszkodziło w zamontowaniu dwu i pół metrowych drzwi. Nie tak dawno Harl wysłał ekipę najemników w celu odnalezienia noża. Nie pokładał w nich zbyt wielkiej nadziei, jednak pokładał sporą w tym, że Morrigan nie wyśle nikogo bardziej kompetentnego. Właśnie nad tym rozmyślał podczas oczekiwanie na gospodarza. Pre lubiła jak jej goście czekali dłużej niż to konieczne. To przypominało im o ich miejscu. O tym, że w jej domu to ona ma całkowitą kontrolę… nad wszystkim. Harl o tym wiedział, więc zajmował myśli czymś innym, aby nie popaść w zdenerwowanie. Jedno z wrót uchyliło się na tyle, aby można było przez nie spokojnie przejść. W przejściu stał Albrecht.

- Witaj Albrechcie! Czy zastałem może Lady Pre? – pierwszy zabrał głos Harl. Brzmiał pogodnie i niewinnie.

- Oczywiście. Mogę spytać o powód pańskiej wizyty?

- Interesy – odparował beznamiętnie.

- Albrechcie któż to? – spytała Pre schodząc z piętra po marmurowych schodach.

- Sędzia Harl Stenson. W interesach – odrzekł Albrecht zanim Harl zdążył coś powiedzieć. Zaakcentował przy tym ostatnie słowo.

- Ach tak? Zaprowadź naszego gościa do salonu, proszę - zaświergotała radośnie Pre. Widocznie zwietrzyła kolejny dobry interes. Dobry głównie dla niej, rzecz jasna. Albrecht posłusznie wyko-

WERSJA ROBOCZA

nał polecenie. Zaprosił Harla gestem dłoni do środka. Po czym zamknął wrota korzystając z jednej z przekładni. System zębatek i zapadni wykonał cały trud.

Pre już siedziała na białej sofie obitej skórą zwierzęcia, którego Harl nie mógł nigdy identyfikować. Miała skrzyżowane nogi, co, przez rozcięcia w kimonie, pozwalało Harlowi zobaczyć część jej gołych nóg. Celowy zabieg. Spojrzenie jej fioletowych figlarnych oczu odprowadziło gościa do środka pokoju.

- Proszę siadać. Niech pan się rozgości. Albrechcie przynieś moją herbatę. Pan też się napije? – Harl zdążył tylko otworzyć usta.

- W takim razie zrób też herbatę naszemu gościowi - powiedział szczebiotliwie i utkwiła spojrzenie w Harlu. Ten spoczął na fotelu naprzeciwko niej. Musiał przyznać, że to obicie było bardzo miłe dla skóry i oka. Albrecht natomiast szybkim krokiem oddalił się w celu przyrządzenia kolejnej porcji napoju.

- Co pana sprowadza w moje skromne progi? – „skromne" – znowu to zrobiła. Tym razem raczej celowo. Dodatkowo świdrowała go tym swoim spojrzeniem. Chyba zagapił się o jedną chwilę za długo na jej szpiczaste uszy.

- No więc… Słyszała panienka o Dezmoncie i o tym całym zamieszaniu?

- Coś obiło mi się o uszy… - stwierdziła lakonicznie. Wiedziała o tym znacznie więcej. Nie ma jednak sensu odsłaniać swoich kart.

- Jak panienka wie, stoję na straży pokoju – Pre musiała zdusić śmiech w zarodku. Nie drgnął jej nawet najmniejszy mięsień – i chciałbym, aby to wynaturzone stworzenie spotkała zasłużona kara. Przyszedłem w nadziei, że panienka mi w tym pomoże - powiedział potulnie, drapiąc się przy tym po głowie.

- I stanie po właściwej stronie? – dokończyła za niego Pre.

- Właśnie tak. Otóż to moja pani – rola lizusa szła mu bardzo dobrze, ale Pre przez te lata poznała już dziesiątki lizusów. Harl z pewnością nie mieścił się w czołówce jej listy.

WERSJA ROBOCZA

- Byłbym zapomniał. Przyniosłem ze sobą podarek, tak w ramach przeprosin za moją niespodziewaną wizytę – jego ocena właśnie poszła o oczko w górę.

- Zatem pokaż co ze sobą przyniosłeś, panie sędzędzio – Harl wyciągnął zza pazuchy butelkę trunku.

- To elfickie wino musujące. Z dodatkami korzennymi. Takie jak ponoć panienka lubi – sprytnie. Nawet bardzo. Jednak niewystarczająco, przewijały się tu znacznie lepsze oferty.

- To miło z pańskiej strony. Zatem nie mam panu za złe tego najścia. Co się tyczy Dezmonta… - zatrzymała się na chwilę, by dobrać odpowiednie słowa - to miły chłopak, ciężko mi uwierzyć, że mógłby zrobić coś takiego. Zwłaszcza bez żadnych dowodów… - odpowiedziała teatralnie z niby udawanym smutkiem. Naprawdę lubiła tego chłopaka. Często słyszała jedne z jego opowieści, a sama uwielbiała baśnie. Oczywiście w żadną opowieść nie wierzyła, nie przeszkadzało jej to jednak w rozkoszowaniu się pięknem opowieści.

- Zamierzam być na spotkaniu. Posłaniec do mnie dotarł. Posłucham dowodów i to ocenię – naprawdę miała taki zamiar. Jej sympatia stawał po tronie Dezmonta. Ten chłopak miał coś w sobie, w niewytłumaczalny sposób ją pociągał… Nieee. Szybko odrzuciła od siebie tę myśl. To te jego bajeczki, większość kobiet z wioski uwielbiało być obsypywane fałszywymi komplementami. Następnie nabrać się na jakąś tanią opowieść i rozłożyć nogi przed podróżnym, rzadziej miejscowym. Ona nie była taką osobą. Nawet w najmniejszym stopniu. Ceniła sobie wiedzę i piękno. Chociaż zgrywała idiotkę.

- To zrozumiałe m'lady. Jednak proszę cię o roztropność w tym wyborze. Wiele czynników może zmącić twój osąd. Prawda nie zawsze wydaje się taka korzy… ekhem oczywista – jeśli uda mu się ją przekupić to werdykt ułoży się po jego myśli. Nie będzie musiał się przypodobywać temu wzniosłemu durniowi Thane'owi. Zresztą wątpił czy w ogóle by mu się to udało. Z nią powinno pójść łatwiej.

- Oooh… zapewniam pana, panie Stenson, że taki będzie – mówiąc to zaczęła figlarnie bawić się swoim, jeszcze mokrym, ko-

WERSJA ROBOCZA

smykiem włosów. Była to jawna, ostentacyjna ignorancja jego osoby. Znaczyło to, że jej nikła moralna postawa stawiała opór. Cóż, w końcu nie zaproponował jeszcze niczego konkretnego. Zaczął więc delikatnie przedstawiać swoją ofertę.

- Lubię, gdy triumfuje sprawiedliwość… - że też sam nie dławił się własnymi kłamstwami i tak łatwo przechodziły mu przez gardło. To pewnie lata praktyki – myślała Pre.

- …i dlatego postanawiam nagrodzić każdego kto wybierze słusznie. To ma działać na zasadzie przeciwwagi do przekupstwa niektórych członków Rady – mrugnął do niej porozumiewawczo. Czy on w ogóle zdawał sobie sprawę jak głupio to brzmiało? Zwłaszcza w ustach kogoś, kto próbował właśnie ją przekupić? Na to pytanie pewnie nawet on sam nie znał odpowiedzi. Często się zdarzało, że pewne prezenty potrafiły zmienić nastawienie pewnych istot. Nie inaczej było w przypadku Pre. Jej słabość do błyskotek była aż nadto widoczna. Nie było za to widocznym to, że posiadała własny osąd i rozległą widzę. Była jedną z najbardziej inteligentnych osób w okolicy. To, że się z tym nie obnosiła tylko to potwierdzało. W końcu prawdziwy król, nie musi krzyczeć światu, że jest królem? Czyż nie? To działało dokładnie na tej samej zasadzie. Ciekawość kazała jej zapytać.

- Cóż to za wspaniałą nagrodę pan przygotował? Słodycze? Uuuuu… może jakieś ciekawe błyskotki? – zaświegotała w głupkowaty sposób.

- Coś w tym stylu. Tak się składa, że postanowiłem się rozstać ze Smoczym Rubinem – był to szlachetny kamień związany z jego rodem. Przekazywany przez pokolenia, wart fortunę. Ponoć miał też jakieś magiczne właściwości, ale nikt nigdy nie potwierdził tych plotek. Sprawa musiała być naprawdę poważna skoro chciał się z nim rozstać. Byłby to też bardzo cenny nabytek do jej kolekcji.

- Ekhem… przepraszam. Wasza herbata – w progu staną Albrecht. Wszedł tak cicho, jakby się skradał. W innym wypadku to oni byliby pochłonięci na tyle myślami i rozmową, że go nie zauważyli.

WERSJA ROBOCZA

- Dziękuję Albrechcie – powiedziała wyrwana z własnych myśli Pre. Albrecht rozstawił na mahoniowym stole dwie białe, porcelanowe filiżanki z podstawkami.

- Teraz masz wolne do wieczora -

- Dziękuję panience – oddalił się swoim starczym krokiem w kierunku wyjścia z posiadłości.

Czekali aż odgłosy ucichną zupełnie. Popijali przy tym herbatę parową i mierzyli się wzrokiem.

- Doskonała parowa herbata – pochwalił Harl.

- Podziękowania należą się Albrechtowi. Robi najlepszą parową herbatę w okolicy.

- Na czym to ja…

- Jakiś Smoczy Rubin – podpowiedziała Pre Krasna.

- A tak. Więc rozstaję się z nim z prawdziwym bólem serca. Jednak uważam, że dobro wioski jest najważniejsze stąd też moja decyzja.

- To ciekawe, wezmę twe słowa pod rozwagę - odpowiedziała neutralnie. Ciekawe co też zaproponował innym? Komu? Kogo przekabacił? Czy chłopak naprawdę jest winny? Czy to tylko zabezpieczenie Harla? Dlaczego to takie ważne? Tyle pytań kłębiło się w jej głowie. Na pewno nie mogła o tym zdecydować teraz. Musiała to przemyśleć. Samo wysłuchanie dokładnie wszystkiego na rozprawie wydawało się bardzo słusznym pomysłem. Zgodnym z jej sumieniem… oraz portmonetką.

- Jak już mówiłam. Sprawą zajmiemy się na rozprawie. Myślę, że po to tam się zbierzemy, aby ocenić winę oskarżonego – na chwilę przestałą mówić. Musiała odpowiednio dobrać słowa.

- O na pew…

- Zgodnie z naszymi kryteriami – znowu weszła mu w słowo. Nie cierpiał tego. Nie ma tu więcej nic do roboty. Nic więcej tu nie wskóra. Czas pokaże czy dobrze zrobił przychodząc tu.

- Na pana już chyba czas. Sama mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. – powiedziała z drobnym naciskiem. Upiła łyk herbaty i spojrzała na niego spode brwi.

WERSJA ROBOCZA

- Tak, chyba ma panienka rację – odpowiedział beznamiętnie. Na jego twarzy zagościł sardoniczny uśmiech. Wstał od stołu, zostawiając niedopitą herbatę na stole.

- Nie kłopocz się pani. Sam trafię do wyjścia.

- Nie wątpię w to panie Stenson. Nie wątpię – powiedziała, cały czas obserwują jak udaje się w stronę wyjścia. Sama zajęła pozycję leżącą i zaczęła rozmyślać nad tą całą rozprawą.

WERSJA ROBOCZA